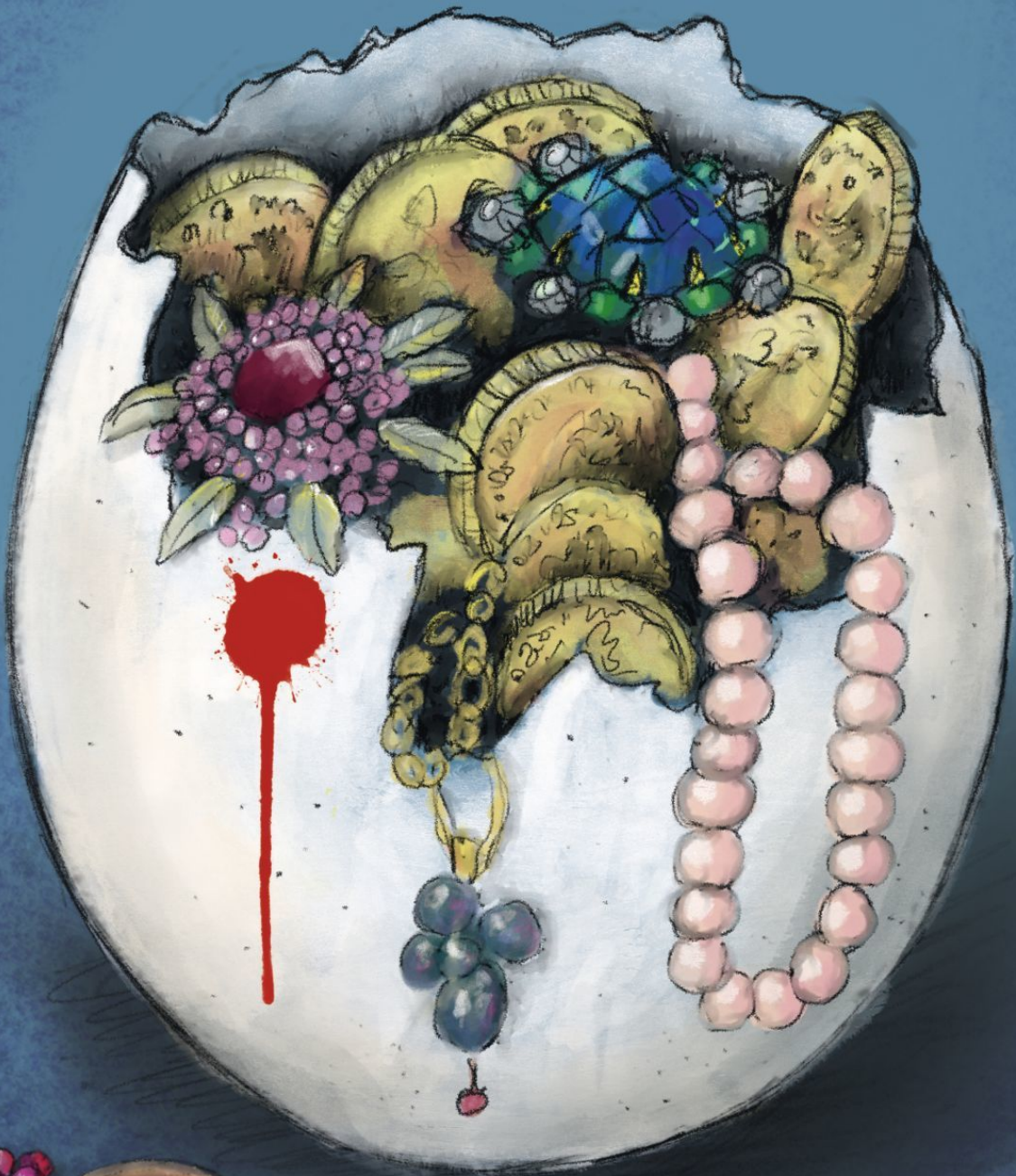


MAJA KOTARSKA

STRUSIE JAJO



KOMEDIA KRYMINALNA

Maja Kotarska

STRUSIE JAJO

Wydawnictwo Estymator

Warszawa 2021

ISBN: 978-83-66719-37-8

Okładka: Olga Bołdok

Copyright © Maja Kotarska

Bohaterki powieści „Dracena przerywa milczenie”, Agata Cyryl i Jola Kapłan podejmują kolejne wyzwanie. Obiecały wprowadzić swoim bliskim, że już nigdy więcej nie dadzą się wplątać w żadne niebezpieczne historie, ale czy jednak mogą pozostać obojętne, kiedy tajemnica sama zapukała do drzwi uczelni, a życie człowieka zawisło na przysłowiowym włosku?

Pozornie odrębne zdarzenia powoli zaczynają się zazębiać i gdy bohaterki są już bliskie rozwiązania zagadki, sprawa wymyka się spod kontroli... Kłopoty to przecież ich specjalność!

A co robi w powieści struś? Oczywiście chowa głowę w piasek!

* * *

Na zewnątrz szalała wiosna. Zieleniły się liście drzew, oszalałymi barwą i zapachem kwiaty, a ptasie trele niosły się po całej okolicy. Natura obudziła się do życia, wprowadzając ludzi w stan prawdziwej euforii. Te pozytywne zmiany w otoczeniu wydawały się nie robić wrażenia jedynie na genetykach. Na trzecim piętrze budynku przy ulicy Podleśnej dwa nadal panowała zima. Była to niewątpliwie zasługa kierowniczkii katedry, profesor Marii Podgórskiej, która skutecznie, dzień po dniu, mroziła radość życia swoich podwładnych.

Siedmioro pracowników naukowych siedziało ze spuszczoneymi głowami i w milczeniu popijało kawę. Już dawno zdążyli wylać swoje gorzkie żale i teraz z wolna popadali w stan zwany apatią.

– Nigdy nie jest tak źle, żeby nie mogło być gorzej – odezwała się w końcu Agatka Cyryl, największa optymistka wśród genetyków.

– Zamierzałaś nas pocieszyć czy jeszcze bardziej zdołować? – zainteresował się Grześ. – Mam nadzieję, że to pierwsze, bo dobijanie nawet wrogów jest niehumanitarne, a co dopiero przyjaciół.

– Próbuję wam tylko uzmysłowić, że posiadanie złego szefa to jeszcze nie koniec świata – kontynuowała Agatka. – W dzisiejszych czasach zły szef to już norma. Zdarzają się wprowadzić chlubne wyjątki, ale one po prostu potwierdzają regułę. I to nie tylko na uczelniach wyższych, mamy do czynienia z problemem globalnym.

– Właśnie odebrałaś mi ostatnią nadzieję – podsumował Andrzej Podymek, dla odmiany największy pesymista w zespole. – Nie mamy nawet dokąd uciec. Całkowity brak perspektyw, klops, dno, totalna załamka...

Mógłby tak wymieniać w nieskończoność, ale na korytarzu nagle coś zaszurało, kierując uwagę słuchaczy na inny obiekt.

– Uwaga, nadchodzi! – ostrzegawczo syknęła Halinka Mikuła. W pracowni nagle ucichło i siedem par oczu czujnie wpatrywało się w drzwi, czy nie pojawi się w nich profesor Maria Podgórska, zwana Marychą. Ostatnio szefowa lubiła składać podwładnym niezapowiedziane wizyty, pakując się do środka bez pukania i zawsze w najmniej odpowiednim momencie. Kiedyś taka rzecz była nie do pomyślenia, ale od odejścia profesora Smolarza wiele rzeczy zmieniło się na gorsze. Przestały obowiązywać stare reguły, a nowe zostały stworzone wyłącznie po to, żeby ułatwiać życie jednej osobie. Profesor Podgórska upajała się pełnią władzy, ale podwojona liczba obowiązków była jej nie w smak. Denerwowały ją te wszystkie sprawozdania, kosztorysy, zamówienia, słowem ta cała wszechobecna papierologia. Wcześniej zajmował się tym profesor Smolarz, teraz musiała radzić sobie sama. Dlatego większość papierkowej roboty spychała na podwładnych. Nie zamierzała tracić cennego czasu na robienie rzeczy, z którymi mógł sobie poradzić zwyczajny doktor.

– Alarm odwołany! – ogłosiła Halinka, kiedy ucichły kroki na korytarzu. – Choć raz nam się upiekło, ale ile można żyć w ciągłym stresie? Powinniśmy w końcu coś z tym zrobić!

– Zamontujmy system wczesnego ostrzegania – zaproponował doktorant Emil Matkiewicz. – Mam kumpla na polibudzie, jak chcecie, to mogę z nim pogadać.

– Pomysł głupi, ale przynajmniej byłoby to jakieś działanie – odezwała się Jola Kapłan. – Dotychczas stosowaliśmy tylko bierny opór.

– Możesz jaśniej?!

– Proszę bardzo, robiliśmy wszystko, co nam kazali, tylko bez uśmiechu na ustach – wyjaśniła. – Nic dziwnego, że Marycha wlaźła nam na głowy. Jak ogólnie wiadomo, na pochyłe drzewo i kozy skaczą.

– Znalazła się buntowniczką! – ironizowała Iza Tetlak, która nie przepadała za Jolą i wykorzystywała każdą okazję, żeby jej dopiec.

Rozmowa zakończyła się ogólną awanturą. Nie pojawił się natomiast żaden cudowny pomysł na uporanie się z szefową.

*

Długi majowy weekend przyciągnął do zoo rzesze odwiedzających. Dla rodzin z małymi dziećmi żelaznym punktem programu był zwierzęcy dzieciniec. Na niewielkim wybiegu grzeczne i dobrze ułożone kózki oraz świnki wietnamskie spotykały się z dziećmi, ku ogromnemu zadowoleniu obu stron. Ludzkie pociechy mogły do woli głaskać i karmić zwierzątka, a przemiłe czworonogi opychały się do rozpuku darowanymi smakołykami. Zwierzęta mające kontakt z dziećmi były starannie dobierane. Musiały być łagodne, spokojne, przyjacielskie i chętne do zabawy. W każdym razie takie były założenia.

Od pewnego czasu działy się tu jednak rzeczy groźne, karygodne, które stawiały pod znakiem zapytania ideę istnienia tego typu placówki. Wystarczyło otworzyć furtkę, by stanąć oko w oko z niebezpiecznym rogatym stworzeniem – sprytnym, bezwzględnym i na razie nieuchwytnym.

Do dyrekcji ogrodu lawinowo zaczęły napływać skargi na agresywną kozę. Początkowo nie wyglądało to zbyt groźnie. Jednemu maluchowi ukradła lizaka, innemu watę cukrową, to jeszcze mieściło się w normie, ale potem posunęła się znacznie dalej, przekraczając wszelkie dozwolone granice. Kiedy raz weszła na drogę przestępstwa, nie chciała już z niej zawrócić. Okazała się wytrawną złodziejką. Działała z zaskoczenia. Wybierała najmniejsze dzieciątka, wystarczyło, że miały przy sobie coś, na czym jej zależało. Brała rozpęd, przewracała ofiarę i nim ktoś zdążył przeciwdziałać, umykała, unosząc w pysku zrabowany przysmak. Potem w jakimś kącie, cichaczem zjadała wafelki z lodami, precle, bułeczki czy cukierki razem z papierkami. Do czasu wszystko uchodziło jej bezkarnie. Przerażone mamy i babcie ratowały pociechy, nie myśląc o działaniach odwetowych. Ale w końcu miarka się przebrała.

Pojawili się obserwatorzy, których jedynym zadaniem było złapanie kozy na gorącym uczynku. Wysoka frekwencja odwiedzających sprzyjała zamiarom dyrekcji. Kozą była sprytna i w obecności pracowników nigdy nie atakowała dzieci. Umiejętnie wtapiała się w tłum. Właśnie zdolność mimikry pozwoliła jej przebrnąć przez wszelkie testy kwalifikacyjne, jakim była poddawana. Jednak powoli pętla zaczęła się zaciskać, a główna podejrzana nie miała pojęcia, że tego dnia dokona swojego ostatniego zuchwałego wyczynu.

Do napadu doszło o godzinie jedenastej dwadzieścia trzy, a przynajmniej taki czas odnotowano w piśmie, które trafiło do dyrekcji. Przedstawiono tam kilka faktów,

podano imię winowajczyni i pytano, jakie kroki należy podjąć w związku z zaistniałą sytuacją. Raport był suchy i w znikomym nawet stopniu nie odzwierciedlał zawodu, jakiego doznał opiekun zwierzyńca, kiedy spośród gromady kóz wytypowano w końcu winną. To była Petrula – jego ulubienica, oczko w głowie, maskotka. A sprawiała takie dobre wrażenie. Ileż to razy przynosił jej z kuchni żony różne przysmaki, drapał za uchem i klepał po grzbiecie. Zadowolona koza wysyłała wokół przyjacielskie gesty, pobekiwała radośnie i merdała krótkim ogonkiem niczym najlepszy przyjaciel człowieka. Takie tam mydlenie oczu. Tania sztuczka, która dość długo przynosiła efekty.

– Petrula, jak mogłaś mi to zrobić?! – powiedział z urazą. Koza oczywiście nie zamierzała odpowiadać na żadne pytania. Stała w kącie zagrody, ze spuszczoneym łbem i przeżuwała porażkę wraz z resztkami opakowania po czekoladzie.

Ktoś powiedział głośno: „Petrula musi odejść”, pytanie tylko dokąd? Przez moment nad szyją niczego nie przeczuwającej kozy zawisł rzeźnicki topór. Na szczęście, dosłownie w ostatniej chwili, ktoś znalazł bardziej humanitarne rozwiązanie. Ogród zoologiczny od lat współpracował z jedną z wrocławskich uczelni wyższych. I teraz, bez zbędnych ceregieli, koza została wciśnięta naukowcom. Wzięli, bo nie wypadało odmówić. Po przewiezieniu zwierzaka na miejsce przeznaczenia zastanowiono się dopiero, co z tym fantem zrobić. Rozesłano stosowne pisma do poszczególnych katedr, ale chętnych do adopcji brakowało. Prawie wszyscy mieli już na stanie jakiś żywy inwentarz i więcej mieć nie chcieli. Genetycy zaś nie zamierzali trzymać zwierząt, ale nikt nie pytał ich o zdanie. I tak niesforna koza Petrula stała się kamieniem u szyi genetyków.

*

– No i wykrakałyście! – powiedział Andrzej, pokazując palcem osoby, które miał na myśli. Chodziło mu oczywiście o Jolę i Agatkę, jego zdaniem, pośrednie sprawczynie nieszczęść, które jak plagi egipskie zaczęły doświadczać genetyków. – Powiedziałaś, że zawsze może być gorzej, i sprawdziło się co do joty – oskarżał Agatkę. – Już następnego dnia dostaliśmy kozę, o której wspomniała Jola. Nikt mi nie wmówi, że to zbieg okoliczności.

–Nie miałam na myśli żadnej konkretnej kozy – broniła się Jola. – Zacytowałam tylko przysłowie i...

– I wystarczyło! – wtrąciła się Iza. – Nasz największy obecnie problem ma na imię Petrula i jest kozą. Nic dodać, nic ująć. Petrula pasła się na uczelnianym trawniku zaledwie od kilku dni, a już zdążyła wyrobić sobie opinię wroga publicznego numer jeden. Przez pierwsze dwa dni zachowywała się co prawda wzorowo. Poznawała okolicę, przewąchiwała kąty i zawierała znajomości w świecie zwierząt. Kręciła się blisko studentów, cierpliwie znosząc ich pieszczoty i inkasując smakołyki. Potem scenariusz zaczął się powtarzać i wystarczyło tylko dopisać ostatni akt dramatu.

Pierwszy napad rabunkowy oraz kilka następnych udało się znakomicie. Dopiero kiedy minął efekt zaskoczenia, kozie zaczęło iść pod górkę. Petrula dość szybko się przekonała, że rośli studenci w niczym nie przypominają bezbronnych dzieciątek z ogrodu zoologicznego. Na agresję odpowiadali agresją. Kozie coraz trudniej było uciec z łupem, nie odnotowawszy strat własnych. Chociaż zmykała z miejsca przestępstwa ile sił w nogach, nierzadko celnie wymierzony kopniak osiągał białego zadka, mechanicznie zwiększając szybkość początkową zwierzęcia.

Po każdym takim niepowodzeniu Petrula szła poskarżyć się swojej najlepszej przyjaciółce – kurze o imieniu Jarzębatka. Przyjaźń ta była raczej jednostronna.

Kurze było wszystko jedno, i ledwie przyjmowała do wiadomości istnienie „Wielkiej Siostry”. Koza za swoją najlepszą kumpelkę oddałaby nawet życie.

Przyjaźń ta była solą w oku genetyków, i nie tylko. Każda próba zagnania drobiu do kurnika kończyła się starciem z rogatym potworem. Pierwszy przekonał się o tym pan Mateusz – opiekun zwierząt. Z upływem czasu poszkodowanych przybywało, a wszyscy zgodnie lecieli na skargę do genetyków, żądając natychmiastowego rozwiązania problemu.

Pod drzwiami kierowniczkii katedry ustawiały się kolejki poszkodowanych pracowników naukowych (studenci nie mieli jakoś śmiałości stawić się przed groźnym obliczem profesor Podgórskiej), a po ich wyjściu wściekła szefowa robiła piekło podwładnym. Genetycy znienawidzili kozę.

*

Majowe słońeczko przygrzewało aż miło. Jola Kapłan i Agatka Cyryl skrzętnie wykorzystały przerwę między wykładami i zafundowały sobie kilka minut relaksu na świeżym powietrzu. Usiadły na ławce tuż pod oknami instytutu i opalały blade ciała. W obecności studentów pozwoliły sobie wystawić na pieszczoty słoneczne jedynie twarze i dolne części nóg, od rąbka spódnic po kostki.

W ten piękny dzień cała przyroda wydawała się iść w ich ślady. Uczelniany inwentarz żywy w postaci kozy Petruli, stadka kur i rudej kotki Mopki rozpełzł się po okolicy, skwapliwie korzystając z wolności. Pozostałe zwierzaki zazdrośnie zerkały na szczęśliwców z zamkniętych wybiegów.

Na samym środku trawnika leniwie wylegiwała się kotka Mopka. Od czasu do czasu otwierała jedno oko i czujnie zerkała na hałaśliwą gromadę studentów, sprawdzając, czy któryś nie zamierza zrobić jej głupiego dowcipu. Z doświadczenia wiedziała, że od młodych ludzi lepiej trzymać się na dystans. W końcu zmęczona hałasem odeszła dostojnie w spokojniejsze rejony.

Joli i Agatce również przeszkadzała wrzawa. Miały porozmawiać o ważnych sprawach, ale jak to zrobić, kiedy człowiek nie słyszy nawet własnego głosu? Jedyna nadzieja, że autobus wkrótce przyjedzie i niesforna grupa studentów odjedzie w siną dal, czyli na tak zwane zajęcia terenowe.

Wokół rozbrykanej młodzieży miotła się doktor Bogusia Stasiak, znana z dobrego serca i lekkiej ręki, co w zawodzie wykładowcy nie było dobrą kombinacją cech. Bezskutecznie próbowała powiedzieć zgromadzonym kilka słów celem wprowadzenia do tematu. Jej słaby głosik nie zdołał przebić się przez wrzaski i kaskady śmiechu.

Prym wśród studentów wiódł przysadzisty brunet w okularach. Chłopak posiadał zapewne jakieś zadatki na aktora i ku utrapieniu biednej Bogusi pomylił kierunki studiów. Wciąż przerywał wykład, pajacował i skupiał na sobie całą uwagę publiczności.

– Wawrzyniak znowu podskakuje – zauważyła Agatka. – A już myślałam, że poszedł po rozum do głowy. Muszę chyba udzielić Bogusi kilku rad, bo aż żal patrzeć, jak się kobieta męczy. Z błaznami najlepiej walczyć ich własną bronią – ośmieszyć i sprowadzić z obłoków do poziomu podłogi – podała gotową receptę na sukces.

Agatka wiedziała, co mówi, mimo mikrej postury potrafiła zdobyć sobie posłuch nawet wśród największych kozaków. Daleka była od stosowania metod polegających na zastraszaniu czy nadużywaniu ocen niedostatecznych. Wystarczyła jej wrodzona inteligencja i psychologiczne podejście do młodzieży.

Jola też nie miała ze studentami żadnych problemów. Samym wyglądem budziła szacunek, a opinia żelaznej damy, jaką cieszyła się wśród starszych roczników,

skutecznie zniechęcała młodszych do wchodzenia z nią na ścieżkę wojenną. W pewnym stopniu współczuła bezradnej koleżance, ale jednocześnie uważała, że Bogusia nie powinna pracować z młodzieżą, to znaczy na pierwszej linii frontu. Jola postrzegała uczelnię jako swoistą dżunglę, w której przetrwać mogły wyłącznie jednostki najsilniejsze lub, tak jak Agatka, obdarzone wyjątkowym sprytem i inteligencją. Jola z kolei dysponowała niezwykłą jak na kobietę siłą fizyczną. Ciekawych pomysłów też nigdy jej nie brakowało i właśnie przedstawiła przyjaciółce najnowszy:

– Ja bym kazała Wawrzyniakowi złapać kurę – odezwała się pozornie bez sensu. – Koniecznie Jarzębatkę – uściśliła. Mówiąc to, spojrzała kolejno na kurę, koze i na Wawrzyniaka, a na jej twarzy pojawił się uśmiezek z gatunku wrednych.

Agatka w lot pojęła, na czym polegał zamysł Joli, ale nie wykazała większego entuzjazmu. Wręcz przeciwnie, postanowiła pokazać przyjaciółce wszystkie słabe punkty niedowarzonego pomysłu.

– Po pierwsze, twoja metoda wychowawcza jest może nowatorska, ale niestety niehumanitarna – rozpoczęła wyliczanie. – Po drugie, Bogusia nigdy by na to nie wpadła, a nawet gdyby ktoś jej podpowiedział, nie zrobi tego, jest po prostu za delikatna. Po trzecie, i najważniejsze – przypominam ci, bo chyba zapomniałaś o takim drobiazgu, że koza jest nasza, czyli katedralna. Jeśli wybuchnie nowa afera z jej udziałem, to koniec końców wszystko skrupi się na nas. Mówię ci, skórka niewarta wyprawki.

Jola wcale nie miała ochoty rezygnować z tak dobrze rokującego widowiska. Kozia korrida zapowiadała się niezwykle emocjonująco i nie było takiej siły, która odwiodłaby ją od skonfrontowania wyobraźni z rzeczywistością. Dla świętego spokoju, wyłącznie na użytek Agatki, postanowiła do niskich pobudek, jakie nią kierowały, dorobić odrobinę ideologii.

– Czasami należy podjąć konieczne ryzyko dla dobra innych, a jak ogólnie wiadomo, cel uświęca środki – oświadczyła. – Trzeba przecież pomóc koleżance w potrzebie, podać pomocną dłoń, wziąć na własne barki odrobinę ciężaru przygniatającego ją do ziemi. A ten studencik nikomu nie piśnie słowa – przekonywała. – Zresztą prawdziwe charaktery kształtują się w boju. Bogusia będzie miała okazję się wykazać i może pod wpływem szoku przełamie w sobie tę nieśmiałość.

– Czy ty naprawdę wierzysz, że twoje sztuczki na coś się zdadzą? – powątpiewała Agatka. – Ludzie nie zmieniają się tak łatwo.

– Może się i nie zmieniają, ale pewne sytuacje pomagają im się odblokować. Za ciebie też kiedyś nikt nie dałby trzech groszy, a zadziwiłaś cały świat. Jesteś najtwardszą babą, jaką widziałam w życiu. – W jej ustach był to prawdziwy komplement.

Agatka odruchowo dotknęła blizny na głowie, którą ponad pół roku temu próbował roztrzaskać bezwzględny morderca. Czaszkę rzeczywiście miała twardą, a w środku, na szczęście, dość oleju, żeby powstrzymać Jolę przed popełnieniem głupstwa.

– Podgórska się wścieknie, jeśli wpłynie następna skarga. – Próbowwała przemówić przyjaciółce do rozsądku. Niestety, bez rezultatu. Jola bywała czasem bardziej uparta od osła.

– Moja koza, mój cyrk – odpowiedziała beztrąsko. Wstała z ławki, wygładziła odzież i wyczekawszy na moment, kiedy Bogusia Stasiak na chwilę opuściła rozwydrzoną gromadkę, ruszyła.

– Ani się waż! – zawołała za nią Agatka, ale raczej bez przekonania, że osiągnie pożądany skutek.

Ze swojej ławeczki widziała wszystko dokładnie. Czuła się tak, jakby oglądała film. Scena pierwsza: Jola podchodzi do grupki młodzieży, wskazuje cel i zachęca Piotra Wawrzyniaka do złapania kury. Student ociąga się, ale zmobilizowany żarcikami kolegów, rusza do akcji. Skrada się na paluszkach, pochyla i znieśmia chwyta Jarzębatkę. Aplauz widowni zagłusza tętent nadbiegającej kozy.

Scena druga: Petrula wkracza do akcji.

Dalsze wypadki rozegrały się błyskawicznie, a dramaturgia zdarzenia przerosła wszelkie oczekiwania. Koza nie miała pojęcia o aktorstwie, za to swoje obowiązki traktowała niezwykle serio. Silnym ciosem w okolicę pleców powaliła chłopaka na ziemię. Kura, nadal głośno skrzecząc, uciekła, ale Petrula nie zamierzała zostawić leżącego. Dołożyła mu jeszcze trzy razy, zanim nadciągające oddziały wroga zmusiły ją do podania tyłów.

Na szczęście dla wszystkich cała afera skończyła się bez rozlewu krwi. Sponiewierany student wołał jak najszybciej zapomnieć o niechlubnym incydencie. Wszystkie siły skupił na odzyskaniu nadszarpniętego autorytetu i kroki odwetowe nie przysły mu nawet do głowy.

Tym razem kozie się upiekło.

*

Jola Kapłan była niezwykle dumna z własnych metod wychowawczych. Osiągnęła przecież zamierzony rezultat. Student przycichł i nikomu nawet przez myśl nie przeszło, że działała z premedytacją. Z takimi talentami marnowała się na uczelni. Zastanawiała się nawet, czy nie powinna rozpocząć kariery politycznej, ale Agatka jak zwykle sprowadziła ją na ziemię.

– Za cienka jesteś do polityki. Tam rządzą hieny, całe stado hien. A ty skąd weźmiesz stado, co? – zapytała. – Znam wprawdzie kilka sztuk chodzących luzem, ale lepiej trzymać się od nich z daleka. Zrozum, moja droga, my zostałyśmy stworzone do wyższych celów i nie możemy trwonić sił na duperele.

Nie zdążyła, niestety, rozwinąć myśli, bo do pokoju młodszej kadry naukowej wtargnęła profesor Podgórska.

– Dzień dobry, pani profesor! – zawołali genetycy fałszywym chórem.

– Dzień dobry, dzień dobry – odpowiedziała łaskawie szefowa. Stała w drzwiach i rozejrzała się wokół, próbując nawiązać z kimś kontakt wzrokowy. Wszystkie głowy automatycznie pochylili się nad biurkami. No, prawie wszystkie. Halinka Mięka zawahała się na moment i to wystarczyło, by padła ofiarą przełożonej.

– Przepiszesz mi to, moja droga, w dwóch egzemplarzach – usłyszała wyrok. – Jak skończysz, to przyjdź do mnie, będziesz mi jeszcze potrzebna. Tylko się pośpiesz, mamy przed sobą dużo pracy. Aha, żebym nie zapomniała, punktualnie o dwunastej proszę wszystkich na zebranie. Musimy omówić szereg spraw i zastanowić się nad kierunkiem dalszych prac prowadzonych w jednostce. I żeby mi nikogo nie brakowało. – Pogroziła swojej gromadce palcem i wyszła.

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI